

COFFEE CLUB

CZĘŚĆ I

Santo Domingo. Dominikana. Rok 2019

Daniel Haven wiele razy słyszał, że brakuje mu jaj. Ludzie mówili mu to w żartach, gdy ubierał rajstopy taneczne i wykonywał skomplikowane figury baletowe, ale zdarzali się i tacy, którzy za wszelką cenę próbowali go obrazić. On sam nigdy nie czuł, by z jego genitaliami było coś nie tak, ale siedząc w samochodzie zaparkowanym na obrzeżach Santo Domingo i patrząc na rozgrywającą się przed jego oczami bijatykę czuł, że jego męskość zmniejszyła się o połowę.

Oddech Daniela był przyspieszony, a palec drgał nerwowo na klamce. Wraz z Patrickiem Aucionem byli na tej ulicy wiele razy. Podrywali dziewczyny stojące pod światłami neonowych dyskotek i wczuwali się w rytm karaibskich rytmów. Patrick zawsze przed wyjściem poprawiał kołnierz od koszuli i przyczesywał włosy drewnianym grzebykiem. Tym razem kumpel siedział w bezruchu. Obie jego dłonie spoczywały na kierownicy, a wzrok utkwiony był w przednią szybę.

– Co tam, Danny? – Patrick spojrzał na kumpla. – Strach cię obleciał?

Daniel głośno przełknął ślinę.

– Trochę – skłamał. Bał się tak, jak jeszcze nigdy.

– To był twój pomysł, żeby tu przyjechać – warknął Patrick. – Wysiadaj i zaciągnij Marię do wozu. – Wskazał palcem na ciemną postać miotającą się między budynkami.

– Potrzebowałbym metalowych łańcuchów, żeby to zrobić. Nie widzisz, że to diabeł wcielony?

– Teraz się zorientowałeś?

– Myślałem, że...

– Że co? – urwał mu Patrick. – Że zagwizdziesz, a ona przybiegnie i wskoczy ci na kolana jak potulny piesek?

– Nie... – Daniel przełknął ślinę. – Sam już nie wiem, co myślałem.

– A ja chyba wiem. Ty ją lubisz, Danny. Ty naprawdę ją lubisz i jesteś w stanie wiele dla niej zrobić.

– Nazwała nas Coffee Club.

– Coffee Club? – powtórzył Patrick i uniósł brwi, po czym natychmiast zwrócił wzrok ku przedniej szybie.

Ktoś krzyknął, a potem ciemna postać przebiegła przez ulicę i pociągnęła za sobą mężczyznę, który odgrażał jej się nożem.

– Nie wiem, co my mamy wspólnego z kawą czy klubem, ale ja bym się chciał wypisać – stęknął Patrick.

– Teraz ty się cykasz? – zapytał Daniel.

– Jasne, że się cykam. To wy chcieliście się bawić w superbohaterów. Ja nie chcę być częścią tej historii.

– Śmieszne...

– Co?

– Od tego się wszystko zaczęło – od zabawy w superbohaterów. Siedziałem z Jackiem w domku na drzewie i wtedy mu o wszystkim powiedziałem. Wtedy na pewno pomyślał, że jestem słaby.

– A jesteś?

– Nie.

– To wsiadaj i przyprowadź Marię!

Daniel nacisnął na klamkę.

Dwadzieścia trzy lata wcześniej. Przedmieścia Chicago. Domek na drzewie

– Chłopcy, złażcie natychmiast! Ile można na was czekać? – krzyknęła pani Cooper, spoglądając w górę i nerwowo przyklepując kępkę trawy.

– Mamo, daj nam jeszcze pięć minut! Ostatnia rozgrywka! – zawołał Jack, wychylając głowę zza drzwi.

– Jack, złaż natychmiast! Bez dyskusji! Już dawno mieliście być na dole. Pani Haven dzwoniła do mnie pięć razy. Daniel ma za godzinę dodatkowe zajęcia. Sprzątnijcie zabawki i schodźcie!

– Ale mamo... już kończymy. Pierwszy raz wygrywam z Danielem... nie rób mi tego! – jęczał Jack, kładąc się na posadzce i wyciskając z siebie sztuczne łzy rozpacz, które potrafiły złamać wszelkie matczyne przykazy.

– Jack, ostatnie pięć minut! – krzyknęła pani Cooper, grożąc synowi palcem. – Czekam na dole. Jeśli się nie pojawicie, wyjdę na górę i wyciągnę was obu siłą.

Pani Cooper mogła zdzierać sobie gardło. Jej syn Jack i jego kolega Daniel w zbudowanej w domku na drzewie bazie mogliby przetrwać zimę. Tegoroczne przebrania na Halloween przyniosły im dobrą passę. Zebrane zapasy czekoladek o smaku masła orzechowego, M&M'sów i gum do żucia wystarczyłyby im na dobre kilka miesięcy.

– Ostatnie starcie, Jack – szepnął Daniel, wystawiając figurkę Batmana naprzeciw Supermanowi.

Superman, trzymany w wątlých dłoniach Jacka, zasadził kuksańca Batmanowi, ale Daniel szybko cofnął postać. Jack odsunął się od planszy do gry i spojrzał przez drewnianą szparę w ścianie.

– Droga wolna, Danny, mama zniknęła w garażu. Możemy przebiec przez podwórko i wspiąć się na drzewo przy werandzie. Z dachu dostaniemy się pod okno mojego pokoju.

– Nie, Jack. Kończymy na dzisiaj. Naprawdę muszę już iść. – Daniel odłożył plastikową figurkę i podniósł się z kolan.

– Poczekaj! – Jack złapał kolegę za koszulkę. – Możemy się ukryć w schowku na miotły. Tam nas nie znajdą. Będziemy mieli dużo czasu, żeby dokończyć bitwę.

– Nie, Jack. – Daniel stracił rękę kolegi. – Muszę iść.

– Dlaczego? Już trzeci raz w tym tygodniu przerywasz bitwę. Nie chcesz się ze mną bawić?

– Nie, tylko... bo widzisz, to pomysł był mamy w sumie, ja nie do końca chciałem, ale, ale... – Daniel zaczerwienił się po same uszy. – Nie powiesz nikomu w szkole? Będą się ze mnie śmiali.

Jack zamasyżuje pokręcił głową na boki.

– Jesteś moim kumplem, możesz mi zaufać – oznajmił.

Daniel na powrót usiadł na posadzce, a Jack przysunął się do niego i objął go ramieniem, by kumpel poczuł się pewniej.

– Mama mnie zapisała na zajęcia z baletu. – Daniel przełknął ślinę. – Lekarz mi powiedział, że się garbie, i że to pomoże.

Jack wysoko uniósł brwi.

– To to nie jest przypadkiem dla bab? – zapytał.

– Tak, tam jest dużo dziewczyn. – Daniel spojrzał na figurkę Batmana. – Ale widziałem też jednego chłopca.

– Nosisz spódniczkę? – zapytał podejrzliwe Jack.

– Nie... nie, chłopcy mają takie specjalne rajstopy – stęknął Daniel, nerwowo obracając zabawkę w dłoniach.

Jack zrobił minę, jakby właśnie zjadł plaster cytryny. Do oczu Daniela natychmiast napłynęły łzy. Obaj wiedzieli, że ich matki miały bardzo dziwne pomysły, których chłopcy w ich wieku nie byli w stanie pojąć, ale balet to znacznie grubsza sprawa. Pani Cooper zawsze układała skarpetki według kolorów: od jasnych do ciemnych, żeby łatwiej było je dobrać do pozostałych części ubioru. Zaczynała od białych, które kładła po lewej stronie szuflady, potem kolejno wsadzała beżowe, szare i czarne. Jack nie widział w tym najmniejszego sensu, bo i tak te białe szybko robiły się szare, a szare po jednym wyjściu na plac zabaw stawały się czarne. Jednak pani Cooper

była święcie przekonana, że to dla syna lekcja dbania o porządek i nic nie było w stanie zmienić jej zdania. Jack zawsze uważał, że ma przerąbane, ale balet? Balet był znacznie gorszy.

– Rajstopy? – Jack spojrzał z niedowierzaniem na kumpla. – Twoja mama myśli, że jesteś pedziem? Tylko pedzie się przebierają w babskie ciuchy.

– Jack, mama mówi, że jak nie zacznę ćwiczyć, to będę miał sko... sko... – Daniel usiłował przypomnieć sobie słowo, które dla ośmiolatka było trudne do zapamiętania, a jeszcze trudniejsze do wymówienia. – Sko, skolerioze... – wydukał wreszcie.

– Skoleriozę? – Wargi Jacka zadrżały.

– Tak. – Daniel pociągnął nosem. – To taka choroba, przez którą wyrasta wielbłądzi garb albo dwa.

Jack wzdrygnął się na myśl o narośli owijającej się wokół kręgosłupa. Narośli, która potrafi przebić skórę i tworzyć na niej dziwne fałdy o kształcie wielbłądzich wypustek. Kiedyś zdarzyło mu się podglądać film o egzorcyzmach, tylko kawałek, ale i tak wystarczyło, by nie mógł spać przez dwie noce. W filmie głowa kobiety obróciła się o sto osiemdziesiąt stopni, a kręgosłup wygiął się do tyłu, jakby był zrobiony z gumy. Jack doskonale zapamiętał tę scenę. W jego głowie na długo rozbrzmiewał głos dobiegający z telewizora, który mówił o święconej wodzie jako remedium na zło. Jack nie był jednak pewien, czy woda święcona pomogłaby na schorzenie kręgosłupa, które dotknęło jego kumpla, i nie miał czasu o tym myśleć, bo Daniel rozryczał się już na dobre.

– Danny, spójrz. – Jack wziął do ręki figurkę Supermana i uśmiechał się. – Superman też nosił rajstopy. I zakładał na nie majtki.

Chłopiec rozchmurzył się odrobinę i otarł rękawem mokry nos. Spojrzał na Jacka czerwonymi oczyma i wyszeptał:

– I byłem silny. I ja też będę, Jack, obiecuję.

Jack początkowo dotrzymywał obietnicy i nie rozmawiał z nikim o pozaszkolnych zajęciach Daniela. Z czasem jednak nie musiał się już starać, by trzymać język za zębami. Prawda sama

wyszła na jaw. Z roku na rok sylwetka Daniela stawała się smuklejsza i coraz bardziej umięśniona. W szkole podstawowej jego kondycja zwracała uwagę nauczycieli, w szkole średniej szeptali o nim już wszyscy. W wieku piętnastu lat obaj z Jackiem rozpoczęli naukę w Lincoln-way East High School i Jack dobrze wiedział, że szkolna drużyna Griffins z otwartymi ramionami wzięłaby Daniela do swego składu. Daniel niczym magnes przyciągał ciekawskie spojrzenia trenerów i szkolnych osiłków. Jego łydki były twarde i napięte, a ramiona wyglądały jak wykute ze stali. Nie męczył się podczas lekcji wychowania fizycznego, z łatwością podnosił ciężary i nigdy nie miał zakwasów.

Każdy głupiec zorientowałby się, że do takiej formy nie dochodzi się w ciągu jednej nocy. Napięte mięśnie nie rosną podczas snu razem z młodzieńczym wąsem i włosami na jajach.

Daniel nie rozmawiał z nikim o tym, skąd bierze się jego siła. Po szkole zawsze umykał na pierwszy autobus jadący w stronę downtown. Gdy niebieski pojazd z numerkiem sto siedemdziesiąt trzy wyłaniał się zza horyzontu, Daniel nie mógł powstrzymać się od uśmiechu. Pół godziny jazdy dzieliło go od miejsca, które tak pokochał. Na wypolerowanym parkiecie odnajdował w sobie drzemiacą siłę i pokonywał słabości. A do tego dziewczyny go uwielbiały. Daniel czuł się wyjątkowy i wiedział, że jeśli będzie ćwiczył, osiągnie wiele na deskach międzynarodowych oper.

Jack ciężko znosił fakt, że Daniel odcina się od szkolnych kumpli na rzecz przebiegania się w damskie ciuszki. Wyobrażał sobie, jak kumpel staje na paluszkach i delikatnie uderza nimi o parkiet, jak składa ręce w geście niesienia pąków kwiatów i jak wiruje w takt spokojnej, kojącej muzyki. Najgorsza była jednak myśl o nogach Daniela, które potrafiły rozłożyć się na wszystkie strony świata. Jakby nic pomiędzy nimi nie było albo jakby to coś dawno przestało istnieć. Jack nie dziwił się zatem kapitanowi drużyny Ethanowi Evansowi, obrońcy Billowi Lopezowi czy Carlowi Robinsowi – najlepszemu biegaczowi Griffinów, że patrzą na Daniela jak na kastrata, który dawno stracił jądra. Ethan podpytywał o Daniela i Jack wcale nie dziwił się, dlaczego kapitan interesuje się jego kumplem. W końcu ilu pierwszoklasistów wygląda jak młody Goliat? Masa stalowych mięśni i ciało odporne na ból przydałyby się na murawie i Ethan doskonale wiedział, jak zrobić z nich użytek. Daniel nie był jednak zainteresowany futbolem ani żadnym innym sportem, który oferowała szkoła. Gdy rozbrzmiewał ostatni dzwonek, wybiegał za szkolną bramę i kierował się prosto na przystanek, z którego co dziesięć minut odjeżdżały autobusy w

stronę downtown. Jack ze smutkiem w oczach patrzył na tę scenę i razem ze wszystkimi wsiadał do żółtego szkolnego autobusu rozwożącego uczniów do domu.

Pierwszą osobą, której Jack wyjawiał prawdę o Danielu, był pan Cooper. Nie chciał. Nie była to jego intencja, ale słowa same popłynęły z jego ust. Ojciec tego dnia odebrał od niego plecak i zaprowadził go do kuchni, gdzie pani Cooper czekała z kolacją.

– Jak Ci minął pierwszy tydzień? Czy Griffini już wiedzą, że w szkole pojawiła się ich nowa gwiazda?

Jack przełknął ślinę. Nie wiedział czemu, ale pomyślał o Danielu. „Tak już wiedzą, Ethan pyta o niego całą szkołę” – przebiegło mu przez myśl.

– Byłem na treningu dla rezerwowych – odpowiedział Jack. – Poszło mi nieźle.

Pan Cooper posłał synowi uśmiech wyrażający dumę i sięgnął po szklankę, by nalać sobie piwa.

– A jak idzie Danielowi? – zapytała pani Cooper i odstawiła na chwilę naczynia. – Nie widzieliśmy go całe lato. Czy on też się zakwalifikował?

– Mamo, przecież wiesz, jaki on jest.

– Jaki? Wysportowany jak sto diabli? – rzucił pan Cooper, unosząc brwi. – Nie wiem, co ten skurczybyk robi, ale tobie, Jack, nie wystarczy sto okrążeń wokół domu, by nadgonić taką formę.

Jack zacisnął pięści pod stołem i wciągnął mocno powietrze.

– Chodzi na balet... – wyrzucił z siebie wreszcie.

Pani Cooper wbiła wzrok w spienioną, tłustą od brudu wodę wypełniającą zlew.

– Co?! – zapytał pan Cooper i odstawił szklankę.

– Słyszałeś... – Głos Jacka się załamał.

Pan Cooper nigdy nie pociągał piwa prosto z butelki, ale tym razem było inaczej. Odsunął szklankę i przyłożył usta do szyjki, łapczywie biorąc kilka haustów.

– Czy Griffini wiedzą, że Haven to pizda? – odezwał się wreszcie Cooper senior.

– Tato, on...

– Wstawaj! – odpowiedział ojciec. – Chcę zobaczyć, jak rzucasz.

Pan Cooper po raz pierwszy spędził wieczór z synem, poświęcając mu całą uwagę. Nagle przestała się liczyć praca i ilość papierów potrzebnych do wypełnienia „na wczoraj”. Obaj z Jackiem, spędzili czas na rzucaniu i łapaniu piłki. Ojciec pokazał synowi, jak się podkręca i jak rozstawiać nogi, by odebrać każde przyjęcie. Chciał mieć pewność, że nikt nie spojrzy na jego syna jak na ciotę, z którą się przyjaźnił.

Daniel w tym czasie nie układał teatralnie dłoni. Masował opuchnięte, obite kolano, na które upadł trzy razy podczas treningu. Zaciśnął zęby i chwiejnym krokiem wyszedł na środek sali. Podskoczył i upadł ponownie. Łzy bólu natychmiast napłynęły do jego oczu. Nie chciał od nikogo pomocy. Podniósł się, wziął kilka oddechów, a potem podskoczył jeszcze raz. Skakał dopóty, dopóki nauczyciel nie kazał mu zejść z parkietu. Wtedy odpuścił, ale nigdy by tego nie zrobił, gdyby wiedział, że dane mu będzie tańczyć jeszcze tylko kilka miesięcy i że nigdy nie dopracuje skoku *grand jeté*.

W wieku szesnastu lat Jack zagrał swój pierwszy mecz w szkolnej drużynie futbolowej – Griffins – i tam zrozumiał, że męski futbol nie jest miejscem dla bab. Nie żeby Jack miał coś przeciwko – chętnie wpuściłby całe stadko koleżanek do szatni, ale futbol, zwłaszcza rozgrywany pomiędzy nastoletnimi chłopcami, nie był miejscem służącym koedukacji. W futbolu – w ich futbolu – nie chodziło jedynie o punkty. Murawa była miejscem, by pozalać niedomknięte sprawy i zdobyć szacunek rówieśników. Tam potrafili przetrwać jedynie najsilniejsi. Tak było od zawsze i Jack przypuszczał, że w kolejnych rozgrywkach sytuacja się nie zmieni.

Miał rację. Mecz z Dallas nie stanowił wyjątku. Z teksańskiej masakry, jaką sprawili im południowcy, Jack wyszedł ledwo żywy. Miał stłuczone ramię i wybity ząb, ale to się nie liczyło. Liczyła się tylko przegrana, a on powinien mocniej się przykładać. Dla swojej pasji poświęciłby wszystko, bo był w niej naprawdę dobry – żaden z zawodników nie biegał tak szybko jak on i żaden nie poświęcał tyle czasu na treningi.

No może za wyjątkiem Daniela. On też wkładał w pasję całe serce, ale on się nie liczył. Daniel nie wchodził na boisko. On był pizdą, cholernym pedziem, który przebiera się w rajstopy i przynosi kumplom wstyd. Dobrze, że gdy byli w pierwszej klasie, Daniel podpisał te pieprzone baletki... bo inaczej? Jack nawet nie chciał myśleć. Wspomnienie tej strasznej lekcji, podczas

której jego reputacja mogłaby się posypać jak domek z kart, powodowało, że żyły na jego szyi napinały się jak struny. Gdy spoglądał w otwór męskiej toalety, wypełnionej śmierdzącą wodą i żółtymi siuškami, rozumiał, jak niewiele brakło, by znalazła się w niej jego głowa. Na lotnisku ostrzegają przed tym, żeby nie brać cudzego bagażu. Dlaczego nie robią tego w szkole?

– Muszę się wyrwać na badanie kręgosłupa. – Daniel zsunął tornister i postawił go przed Jackiem. – Zostawię ci plecak, bez niego szybciej biegam.

– Nie zmieszczę tylu rzeczy w szafce – bąknął Jack.

– Uwinę się w godzinę, obiecuję.

– Godzina, Danny. Potem muszę iść na trening.

Daniel skinął głową na znak, że przyjął do wiadomości. Będzie biegł najszybciej, jak potrafi. Jack podniósł plecak i przełożył go sobie przez ramię.

– Mam nadzieję, że z twoim kręgosłupem jest coraz lepiej – odezwał się ze szczerą troską. „Może jak leczenie się zakończy, Danny powróci do męskich zajęć?” – myślał, chociaż bardzo wątpił w tego typu teorie.

– Doktor mówi, że widać poprawę – odezwał się kolega. – Kiedyś będę zdrow jak ryba.

Jack pokiwał głową i skierował się do klasy, a Daniel zniknął za rogiem na końcu korytarza. W klasie było głośno i parno. Jack stanął jak oniemiały i z otwartymi ustami spojrzał na Ethana, stukającego palcami o blat. Potem przeniósł wzrok na pozostałych trzecioklasistów, siedzących na posadzce pod oknami.

– Jesteś w dobrej sali, Cooper – odezwała się pani Young, odpowiadając na zdziwione spojrzenie chłopca. – Popołudniowe treningi Griffinów zostały odwołane. Trener Anderson musiał wyjechać w pilnej sprawie. Dzisiejsze zajęcia będą łączone.

– Trener nigdy nie opuszczał treningów – wyrwało się Billowi Lopezowi.

– Spokój Lopez! Zrób miejsce młodszemu koledze. – Pani Young wskazała stolik na środku klasy. – Usiądziesz sam, Cooper, czy trzeba cię zaprowadzić za rączkę?

Jack przecisnął się przez masę ludzkich ciał i dostał się do stolika na środku. Za plecami poczuł śmierdzący oddech starszego kolegi.

– Ty jesteś Jack Cooper? – Carl Robinson dźgnął go kilka razy palcem. – Słyszałem, że masz chrapkę na pierwszy skład. Wiesz, że to oznacza ściganie się ze mną?

Jack panicznie spojrzał na panią Young sięgającą po dziennik.

– Chcesz się sprawdzić dzisiaj po lekcji? – szepnął Carl.

– Cisza – huknęła nauczycielka i nasunęła na nos wielkie okulary, tak wielkie, że tylko nauczyciel byłby dumny z ich noszenia, następnie przeszła do odczytywania nazwisk na liście. Lista, sporządzona na podstawie słabych ocen z wypracowania, wywołała szmer i panikę. Odczytana z kartki godność miała wskazywać straceńca zmuszonego do publicznej dopytki przed klasą. Jack zerknął nerwowo do tornistra. Matka pisała mu to wypracowanie przez dwa dni i nawet pan Cooper stwierdził, że wyszło jej naprawdę nieźle. Potem Jack rozsunął tornister Daniela, by zerknąć, czy jest w nim niebieski segregator. Był. To w nim Daniel zawsze trzymał wszelkie eseje. Jeśli tylko nie zapomni języka w gębie, stojąc przed całą zgrają drużyny futbolowej, to obaj wyjdą z tego cało.

– Patricia Black. – Z ust pani Young padło pierwsze nazwisko, a po klasie rozniósł się odgłos odsuwanej krzesła.

Patricia wstała i drżącymi rękoma podniosła swoją kartkę ze stolika. Za każdym razem, gdy ktoś wypowiedział jej imię, trzęsa się jak galareta. Teraz, gdy pani Young wypowiedziała je w obecności Griffinów, dziewczyna musiała się przytrzymać blatu, by wstać. W przyszłości jej matematyczne zdolności miały jej przynieść posadę dyrektora w nowojorskim oddziale Bank of America, ale nie mogła tego wiedzieć na szkolnych zajęciach literatury. Pisała fatalnie i nie zmieniły tego żadne dodatkowe zajęcia z gramatyki i czytania. Co gorsza, na zębach miała wysłużony aparat korekcyjny, który zaburzał jej wymowę. Idąc przez salę, Patricia gotowała się na porażkę i kolejne tygodnie drwin na stołówce. Wzrokiem błędziła po unoszących się i opadających brwiach pani Young, które synchronizowały się z jej krokiem. Ktoś z tyłu klasy prychnął śmiechem, dając przedsmak przedstawieniu, które miało nastąpić. I nastąpiło – wcześniej niż ktokolwiek mógł się spodziewać. Po sali rozniosło się głośnie plaśnięcie, a kartki trzymane przez Patricję pofrunęły do góry. Jack nie zdążył nawet zareagować. Dziewczyna runęła jak długa, ładując twarzą do posadzki. Plecak Daniela, o który zawadziła, przesunął się kilka metrów i odsłonił całą swoją zawartość. Wyleciały z niego baletki i czarne getry, które w

mgnieniu oka, jakby przyciągnięte niewidzialnym magnesem, trafiły do rąk Ethana. Patricia zerwała się na równe nogi, odmawiając pomocy. Stała u boku pani Young i wtedy zauważyła, że nikt na nią nie patrzy. Twarze uczniów zamiast uśmiechów zdradzały zupełną konsternację. Czarne getry z lycry powoli przechodziły kolejno pomiędzy dłońmi uczniów, dochodząc do Carla Robinsona.

– Przebierasz się za babę, Cooper? – szepnął Carl, wychylając się za ławkę.

Jack zastygł na moment i poczuł, jak zaczyna brakować mu tchu. Ethan obrócił baletkę w dłoniach i spojrzał na Jacka spod byka.

– Pizda! – zawołał Bill siedzący pod parapetem, czym wywołał kolejną falę śmiechu.

Obraz przed oczami Jacka zaczął się rozmywać, a ciało obejmował paraliż. Pani Young wyprężyła się jak struna.

– Cisza! Cisza! – huknęła, ale jej głos zginął w coraz głośniejszych rozmowach.

– Cooper ubiera baletki! – ryknął Carl, a klasa zawtórowała mu śmiechem.

– Carl, jeszcze słowo, a zostaniesz ze mną na kolejny rok – warknęła pani Young.

Robinson oparł się spokojnie na krześle i spuścił wzrok.

Ethan ponownie obrócił baletkę w dłoniach i przyglądał się podpisowi pod spodem.

– To Daniela – powiedział głośno, odwracając się do klasy. – Jack, na pewno o nich nie wiedział, prawda?

Jack zmusił się do działania i kiwnął głową. Jego policzki były czerwone od wstydu, a wzrok panicznie szukał pocieszenia u pani Young.

– Pozbieraj to, Cooper – warknęła nauczycielka.

Jack widział, że nie będzie w stanie samodzielnie wstać. Nie musiał jednak tego robić. Getry i baletki momentalnie znalazły się na jego stoliku. Jack gapił się na nie chwilę, a potem ruchem dłoni zepchnął je do tornistra Daniela. Do końca lekcji nikt nie zwracał uwagi ani na stojącą na środku Patricję, ani na głupoty napisane w jej wypracowaniu. Wszystkie oczy skierowane były na plecaka stojącego pod ławką Jacka.

Jack wyszedł z sytuacji bez szwanku – dobrowolnie oddał plecak w ręce Billa, by ten dokładnie sprawdził jego zawartość. Baletki były podpisane. „Podpisane” – powtarzał w myślach Jack, patrząc, jak Lopez wiesza je na tablicy ogłoszeniowej.

Tego, co nastąpiło potem, nie trzeba nikomu tłumaczyć – wieść o Danielu rozeszła się lotem błyskawicy. Szepty stopniowo przeradzały się w skrywane uśmieszki, a te w głośnie drwiny. Stołówka huczała od plotek, a Świry z drużyny futbolowej wyczekiwali okazji, by zrobić sobie ubaw z kolegi.

Dzień po incydencie Daniel znalazł swój plecak pływający w męskiej toalecie, potem było już tylko gorzej. Carl Robinson dopadł go po szkole, grożąc zapalniczką, że podpali mu włosy. Gdyby akurat nie przechodziła pani Delavare – nauczycielka historii, u której Robinson kiblował dwa razy, Daniel nie wyszedłby ze spotkania cało. Miał szczęście, ale rozumiał, że w przyszłości na uśmiech losu nie ma co liczyć. Stał się głównym obiektem kpin i nic mu nie pomoże.

Wiedział, że się wyróżniał. Nosił długie włosy (cały czas związane w koka), obcisłe czarne spodnie (w szkole) i baletki (po szkole), ale był wysportowany. Nie grał w futbol ani w baseball, ani w żadne inne sporty, które Świry klasyfikowały jako męskie, ale co z tego? Był zdrowy i silny. Lubił to, co robił, i nie pragnął się nikomu przypodobać. Kochał balet za wysiłek, który wymagał siły charakteru. Dopracowując poszczególne figury i kroki, jego ciało rozciągało się do granic możliwości. Nie każdy by dał radę, oj nie. Świry, pokroju Robinsona, nie miały pojęcia o poświęceniu.

Daniel kupił nowy plecak, przyciął włosy i starał nie przejmować się sprawą. Nie przejmować się, ale pamiętać, by bacznie rozglądać się po wyjściu za szkolną bramę. A najlepiej trzymać się blisko Jacka, który tworzył naturalną barierę między nim a Świrami.

Dokładnie dziewiątego maja, po południu Jack miał wykupić sobie przepustkę do pierwszego składu. Tego dnia wczesnomajowe chicagowskie powietrze było duszne i wilgotne. Para unosiła się w powietrzu, tworząc na niebie gęste chmury. Trener Anderson odwołał wszystkie treningi na otwartej przestrzeni, a pani Delavare niczym jeździec apokalipsy obwieszczała uczniom zbliżający się huragan. Komunikaty pogodowe nadawane w radiu i telewizji zapowiadały

załamanie pogodowe spowodowane starciem dwóch frontów atmosferycznych. Popołudniowe zajęcia kończyły się przed czternastą, a autobusy pękały w szwach, rozwożąc dzieciaki do domów. Nim niebo zdążyło przybrać granatowy kolor, większość uczniów miała znaleźć się w bezpiecznym schronieniu.

Daniel jak zwykle wybiegł ze szkoły i skierował się na przystanek, z którego odjeżdżały autobusy do centrum. Pojedyncze krople deszczu zaczynały leniwie kapać z nieba, odznaczając się na ulicy ciemną barwą. Samochody pędziły szosą, a ich kierowcy starali się umknąć przed nadchodzącą ulewą. Daniel schował się pod wiatą i usiadł na plastikowej ławeczce. Siedział tam w samotności, odsłuchując kolejnych piosenek na swoim iPodzie. Muzyka Czajkowskiego i Mozarta rozbrzmiewała w głośnikach, a on gibał się w jej takt, ćwicząc w myślach kolejne kroki. Nie słyszał, by ktokolwiek do niego podchodził.

– Co tam, pizdeczko? – zapytał Carl, opierając się o wiatę.

Daniel podskoczył. Wyjął szybko słuchawki z uszu i spojrzał na koński uśmiech Carla.

Biegacz usiadł przy Danielu na ławeczce i przyglądał się towarzyszowi z zaciekawieniem.

– Muszę załatwić coś dla brata w centrum – oznajmił i usiadł na ławce. – Mam nadzieję, że nie będzie ci przeszkadzało moje towarzystwo?

Daniel pokręcił głową na boki i zrobił mu miejsce, po czym ponownie włożył słuchawki do uszu.

– Czego słuchasz? – zapytał Carl, przyglądając się chłopakowi.

Daniel nie odpowiedział. Patrzył w lewo i błagał w myślach, by na horyzoncie pojawił się niebieski pojazd.

– Mogę posłuchać? – Carl chwycił za kabel.

– Nie! – postawił się Daniel. – Zostaw!

– Nie bądź taki niedotykalski. – Carl przejechał dłonią po policzku Daniela. – Słyszałem, że lubisz, jak cię muskają faceci.

– Zostaw mnie! – Daniel zrzucił z siebie ręce Robinsona.

Carl wstał z ławki i zaczął wymachiwać przed chłopakiem biodrami.

– Spokojnie, chcę cię tylko lepiej poznać.

– Nie waż się mnie tknąć! – Wargi Daniela zadrżały. Chciało mu się płakać, ale wiedział, że płacz to najgorsza rzecz, jaką mógł zrobić. Musi być silny i stawić Carlowi czoła... albo wstać i wziąć nogi za pas.

– Spokojnie – powtórzył Carl i uśmiechnął się do Daniela, wyciągając ku niemu wielkie ręce. – Wszystko będzie dobrze. Nikomu nie powiem, że się ze mną zabawiałeś.

Carl najpierw lekko klepnął Daniela w policzek, a potem chwycił za podbródek. Ten wstał natychmiast i odepchnął oprawcę. Łzy stały w jego oczach, ale starał się stać mocno na nogach i uderzyć przeciwnika, gdyby zaszła taka potrzeba.

Robinson splunął na chodnik i zacisnął pięści, gotowy oddać pierwszy cios. Już miał się zamachnąć, gdy nagle poczuł dotkliwy ból rozchodzący się od ramienia po łędźwie.

Materiał wilgotnej, złożonej parasolki smagnął go po plecach niczym przęsło niewolniczego bicia. Na jego niebieskiej koszulce, z logo drużyny, uwidoczniła się ciemna, mokra wstęga. Carl zacisnął zęby, odwrócił się i chwycił narzędzie, które zadało mu ból. Jack puścił luźno parasolkę, nie starając się o nią walczyć. Robinson miał parę w rękach i młody Cooper wiedział, że gdyby zaczęli się siłować, przeciwnik z łatwością wyłamałby mu oba nadgarstki. Parasolka przecięła powietrze i gwizdnęła nad głową Jacka. Ten zrobił unik, przebiegł pod uniesionym ramieniem Carla i zamasztył kopniakiem podciął mu nogę. Chłopak zachwiał się, ale nie stracił równowagi. Wyćwiczone, mocne łydki przyzwyczajone do przyjmowania ciosów utrzymały ciężar ciała.

Mina Daniela wskazywała, że chłopak chciał coś zrobić, ale Jack skinął ku niemu głową, by brał nogi za pas. Daniel nie zastanawiał się długo. Posłuchał i popędził w kierunku szkoły.

Carl uśmiechnął się, widząc tę żalospną scenę przyjaźni i zamachnął się parasolką po raz drugi. Jack oberwał w ramię, ale nie pozostał dłużny. Zrobił wykop i trafił Carla w goleń. Robinson jęknął i cofnął się lekko. W jego oczach tliła się wola walki i Jack wiedział, że przeciwnik zbiera siły – nie pozwoli mu się więcej uderzyć. Cooper nie czekał, splunął na przeciwnika gęstą flegmą i puścił się pędem przed siebie.

– Spróbuj mnie dogonić tłusciuchu, spróbuj! – wrzasnął, w momencie gdy ściana deszczu lunęła pionową strugą.

Krople uderzały o chodnik niczym pociski. Rozpadało się na dobre. Jack jednak nie zdawał się tym przejmować i biegł na oślep, przecinając strugi deszczu. Woda rozpryskiwała się mu pod nogami i ochlapywała spodnie aż do kolan. Carl przetarł twarz i ruszył w pościg. Biegł nieprzerwanie, wyciągając w kierunku Coopera palce o wielkości parówek. Nagle łuna jasnego światła przeszła niebo, a po nim nastąpił głuchy trzask. Serce Carla podskoczyło. Dźwięk przypominający odgłos łamanego drewna wytrącił go z równomiernego biegu. Na krótką chwilę wytracił tempo. To wystarczyło, by Jack zwiększył odległość i zniknął za główną aleją. Carl zatrzymał się i spojrzał za siebie. Deszcz zacinął cały czas, utrudniając widoczność. Daniel zniknął za budynkami. Obaj gówniarze rozplnęli się razem z wodą uderzającą o chodnik. Nie było sensu ich dłużej gonić. Robinson zawrócił, nie zważając na to, że wysoka postać łypie na niego spod cieknącej parasolki.

Trener Anderson zdążył na przedstawienie w momencie, gdy Robinson przecierał twarz. Nie był jednak pewien, czy robi to dlatego, by lepiej widzieć pierwszaka, który wlaź mu w drogę, czy raczej przez deszcz zacinający po twarzy. Przyglądał się, jak młody Cooper gna jak antylopa uciekająca przed drapieżnikiem, a także jak drapieżnik zmęczony polowaniem zawraca. Anderson ścisnął mocniej parasolkę i szybkim krokiem pomaszerował ku parkingom. Po weekendzie wymieni Robinsona i da Cooperowi szansę na grę w głównym składzie.

Jack się zmienił. Zaczął więcej czasu spędzać na boisku i częściej przysiadł się do Świrów. Sam Ethan przysuwał mu krzesło. Młody Cooper szybko wsiąknął w to towarzystwo. Ethan wyróżniał się od reszty charakterem. Owszem, był zaborczy i nie lubił przegrywać, ale nie należał to tych, co zaciągają słabszych do kibla i tam spuszcza im łomot. Potrafił wpływać na ludzi bez użycia przemocy. Robił to metodycznie. Pomimo że otaczał się tępymi osiłkami, działał jak strateg, planując kolejne ruchy i przewidując decyzje przeciwnika. Trener Anderson dostrzegł ten talent już na pierwszym treningu. Taki złoty chłopak trafiał mu się raz na siedem lat, a siódemka to magiczna liczba. Ostatnim dobrym kapitanem, który doprowadził drużynę do finałów, był Rick West, znany jako Wielki Ricky. Nie tylko miał parę w nogach, ale i charakter. Charakter, który

motywował zespół. Ethan był podobny. Wydobywał z każdego zawodnika indywidualny talent. Jeśli w drużynie grał chłopak, który szybko biegał, to nowy mógł się do niej dostać, jedynie wtedy, gdy prześcignie tego najszybszego. Ambicja wpływała na młodych zawodników i motywowała do cięższych treningów. Anderson postrzegał Ethana jak Świętego Graala, którego był szczęśliwym znalazcą, i którego musiał starannie pielęgnować. Ethan natomiast za swojego Świętego Graala uważał Jacka. Cooper miał talent i nie lubił przegrywać. Takich zawodników potrzebowała drużyna. A do tego potrafił się odciąć od kumpla, który ciągnął go w dół. Ethan był dumny. Życie Coopera nareszcie zaczęło podążać właściwym torem.